

Anna Sikorska

Wygrana

Wygrałem go w jakimś głupim konkursie, w którym sam nie pamiętam czemu wziąłem udział. Chyba myślałem, że to żart, no bo kto przy zdrowych zmysłach oferowałby zwierzę jako nagrodę?

Wieczorem siedzieliśmy gapiąc się na siebie nawzajem, a on pomiaukiwał od czasu do czasu. Nie miałem pojęcia dlaczego. Miał pełne miski – z wodą, chrupkami i mokrym żarełkiem. Kuweta czysta. Spanie ciepłe, umoszczone ze starego kocyka i podartego swetra. A jednak siedział maluch naprzeciwko mnie na wersalce, patrzył i pomiaukiwał. Nie wiedziałem, co zrobić. Przytulić toto?

Mijały dni, a ja powoli przyzwyczajałem się do faktu, że teraz jest nas dwójka – ja i ten szarobury drobiazg cierpliwie wydeptujący sobie drogę do mojego serca. Nie wiedziałem, jak go nazwać, zresztą podobno koty i tak nie reagują na imię, więc po co? Jeszcze się łudziłem, że może wcisnę go komuś, że oddam tę puchatą odpowiedzialność w dobre ręce, a sam zgodnie z planem przeprowadzę się do miasta.

Po kilku tygodniach otworzyłem mu drzwi do ogrodu, a gdy przesiadywał za długo na progu – kupiłem i zamontowałem takie małe drzwiczki dla kotów. Miałem trochę spokoju, ale niekoniecznie więcej czasu. Złapałem się kilkakrotnie na obserwowaniu małego, ciekawskiego myśliwego jak buszuje w krzakach i odkrywa nowe dla niego rośliny i robaki.

Fajny kociak, można się przyzwyczaić.

Przyzwyczaić?!

Patrzył na mnie jakby wiedział. Tak trochę z wyrzutem, trochę z żalem, ale przede wszystkim z ogromnym rozczarowaniem. Ale przecież musiałem. Musiałem go oddać Iwonie, tam będzie miał dobry dom. Ten tutaj, no cóż, ten tutaj sprzedam jak tylko dostanę umowę na czas nieokreślony, a to podobno czysta formalność. Za dwa tygodnie wyjeżdżałem do miasta, bo tylko tam mogłem znaleźć pracę jako inżynier produkcji, nie tutaj w małej wiosce odciętej od świata, na którą samochodem musiałbym dojeżdżać dwie godziny w jedną stronę, a zimą nie wiadomo, czy w ogóle bym się przekopał.

"Możesz pracować online" mówił jego wzrok, a ja potrząsałem głową. Nie, nie, nie. Nie ma tak łatwo. Mógłbym, ale nie w zawodzie, i za kiepskie pieniądze.

Próbowałem znaleźć mieszkanie, w którym pozwoliliby mi trzymać zwierzaka, ale wszelkie próby spęły na niczym. No i do tego w pracy będą wymagali ode mnie wyjazdów, czasami na tydzień czy dwa.

– Nie mogę cię zatrzymać, malutki, przepraszam – powiedziałem i uświadomiłem sobie, że rozmawiam z kotem.

Minęły trzy miesiące, w pracy byli ze mnie zadowoleni, postanowili, że zatrzymają mnie na stałe. Pojechałem na kilka dni na wioskę, by zorganizować sprzedaż domu, spakować pozostałe kłopoty i pożegnać się ze znajomymi. Odwiedziłem Iwonę.

– Stary Matecki o ciebie pytał – rzuciła niezobowiązująco przy kawie i ciście.

Pokiwałem głową. Wiedziałem, czego mógł chcieć.

– Pozdrów go – odpowiedziałem siostrze.

Ona spojrzała z zamyśleniem na okno. Za nim rozciągało się pole. To Iwona przejęła ojcowiznę, gdy rodzice zachorowali i zmarli. Ja wtedy studiowałem. Dostał mi się stary domek dziadków, który szwagier wyremontował. Chcieli mnie zatrzymać. Matecki też. Pomogłem mu kilkakrotnie przy traktorach i umyślił sobie, że przecież mogę to robić dla wszystkich. Tyle że tych "wszystkich" nie było zbyt wielu i nie mieli aż tylu psujących się maszyn do naprawy, by zapewnić mi byt.

– Pozdrowię – zapewniła. – Chociaż lepiej, jakbyś sam tam zajrzał. Stary dostał jakiś kontrakt od gminy i szuka ludzi do pomocy.

Pokręciłem głową upijając następny łyk kawy. Może kilka miesięcy temu skorzystałbym z okazji, teraz już nie musiałem. Zaległa między nami cisza, męcząca, ciężka. Iwona nie chciała, żebym wyjeżdżał. W końcu wstała, otworzyła drzwi na podwórze i zawołała:

– Kici, kici!

Moje kocisko, podrośnięte, o lśniącym puszystym futrze, zgrabnie zeskoczyło z płotu i podeszło do progu. Zatrzymało się widząc mnie, fuknęło i odeszło. Zabolało, ale co poradzić? Może i lepiej, że zwierzak mnie już nie lubił, trudniej byłoby się pożegnać, gdyby znowu przyszedł się łąsić. Dopilem kawę i wyszedłem, obiecując, że jeszcze zajrzę przed wyjazdem.

Mieszkałem kilkaset metrów od Iwony, ale aby do mnie dotrzeć, trzeba było przejść spory kawałek wzdłuż drogi przecinającej rzekę, a potem skręcić i kontynuować piaszczystą leśną

dojazdówką. Lub pójść na przełaj przez pola, pod mostem i częściowo przecisnąć się obok zagrody Nastkiewiczów, której pilnowały dwa psy. Wybrałem krótszą drogę. Byłem prawie w domu, gdy usłyszałem głuchy warkot. Odruchowo sięgnąłem po leżącą w pobliżu gałąź. Kundle sąsiadów były głośne i zaczepne, ale i łatwo akceptowały wyższość przeciwnika. I czasami zrywały się z łańcuchów. Ten, który na mnie warczał, był młodszy i mniejszy z dwóch, sięgał mi do kolana. Podszedł bliżej, zawarczał i obnażył kły. Przez chwilę nie byłem wcale pewny swojego losu. Gałąź to jednak nie najlepsza broń w starciu z agresywnym psem. Zamierzyłem się nią, w myśli modląc się, by nie pękła za szybko, gdy nagle z pobliskiego drzewa z głośnym sykiem spadła między nas kula szaroburego futra. Kot szczyrzył kły, zamiatając piach końcem ogona. Pies skoczył na niego, jakimś cudem złapał i potrząsnął. Rozległ się straszliwy pisk. Nie zastanawiając się, machnąłem gałęzią. Musiałem trafić, bo po chwili Burek uciekł skomląc. W ręku pozostał mi niewielki kawałek drewna.

Spojrzałem w dół. Kociak próbował odpełznąć w krzaki, ale coś było nie tak z jego łapą. Nie zważając na zęby i pazury podniosłem go najdelikatniej jak umiałem i na rękach zaniósłem do samochodu. W okolicy był tylko jeden weterynarz, trzy wioski dalej.

– Smaruj mu rany tą maścią cztery razy dziennie. Dodawaj te kropelki do wody lub mokrego jedzenia. Przez pierwsze dni powinno być łatwo, bo będzie oszołomiony i słaby. Później, no cóż, to kot, może ci pozwoli się dotknąć, może nie. – Jurek na co dzień opiekował się krowami i świniami, ale połatał kocisko i poinstruował mnie, jak postępować. Teraz patrzył na mnie posepnie.

– Nie jest dobrze – dodał. – Niefortunnie go bydlę złapało. Prawdopodobnie zawsze będzie krzywo chodził, a i o drzewach może zapomnieć.

Maluch spał po operacji, nafaszerowany antybiotykami i środkami przeciwbólowymi. Gips pokrywał całą prawą łapę, wielokrotnie złamaną, i formował obręcz wokół łopatek. Podrapałem go za uchem. Zamruczał.

– I po co ci to było? Przecież bym się obronił.

Jurek wklepywał coś w komputer.

– Co się właściwie stało? – zapytał.

– Mieliśmy spotkanie z Burkiem Nastkiewiczów. Postawił się i widzisz, co mu z tego przyszło.

– Jaki wynik starcia?

Spojrzałem na futrzaka.

– Wygraliśmy – westchnąłem. – Ale jakim kosztem...

– Takie pyrrusowe zwycięstwo – podsumował Jurek. – A jak ma na imię ten twój pogromca kundli?

Kociak mruczał.

– Mru... Pyrr... Purrys. Niech mu będzie Purrys.

Wiedziałem już, że nie sprzedam domu, nie wyjadę do miasta, a jutro rano odwiedzę starego Mateckiego w sprawie tej nowej roboty. Patrzyłem na niewielką, szaroburą kulkę, która bez wahania stanęła między mną a trzykrotnie większym od niej psem, i pomyślałem, że nie mogę go zostawić, i że może jednak to jego zwycięstwo nie było takie pyrrusowe.

Purrysowe bardziej.

11.04.2019